

Wychodząc z kina

„Kwartalnik Filmowy” nr 122 (2023)

ISSN: 0452-9502 (Print) ISSN: 2719-2725 (Online)

<https://doi.org/10.36744/kf.1705>

© Autor; licencja Creative Commons BY 4.0

Artur Piskorz

Uniwersytet Pedagogiczny im. KEN w Krakowie

<https://orcid.org/0000-0003-2714-1260>

Znikające miasto

Słowa kluczowe:

Londyn;
znikające miasto;
Patrick Keiller;
Robinson;
Battersea;
BFI;
królowa

Abstrakt

Biorąc za punkt odniesienia film Patricka Keillera *London* (1994), autor wędruje przez współczesną stolicę Wielkiej Brytanii i rejestruje zmiany, jakie w niej zaszły w ciągu ostatnich kilku dziesięcioleci. Odnotowując postępujące przemiany, konstatuje, że „znikanie” doskonale znanych miejsc z przeszłości oznacza swoiste „znikanie” miasta zachowanego w pamięci, ale jednocześnie pozwala na kształtowanie się nowej przestrzeni miejskiej. **(Materiał nierecenzowany).**

Bezimienny narrator w filmie Patricka Keillera *London* (1994) relacjonuje wędrówkę przez stolicę Wielkiej Brytanii, w którą wyrusza ze swoim przyjacielem Robinsonem. Filmowa narracja, stylizowana na *Dziennik roku zarazy* Daniela Defoe, dotyczy wyprawy, której celem jest zdiagnozowanie „problemu Londynu” sprowadzającego się do tego, że Londyn nie jest Paryżem. Robinson wyrokuje, że *sednem tożsamości Londynu jest jego „nieobecność”*. *Jako miasto, Londyn przestał istnieć. Choćby z tego powodu jest miastem na wskroś nowoczesnym. Londyn jest pierwszą metropolią, która zniknęła.*

Moja wędrówka przez miasto, rejestrująca przyczyny jego widmowego charakteru, zaczęła się na początku bieżącego stulecia, by nabrać prawdziwego rozpędu w jego drugiej dekadzie. Kilkuletni pobyt w stolicy pod koniec lat 80. raczej utwierdzał mnie w przekonaniu o konserwatyźmie Brytyjczyków nieskorych do rewolucyjnych przemian. W znacznej mierze łączyło się to z miejską przestrzenią. Owszem, wówczas tu czy tam *corner shop* zmieniał właściciela, Wimpy stawał się McDonalodem, ale działo się to niespiesznie i jakby mimochodem. Telewizyjne wiadomości niezmiennie relacjonowały parlamentarne wystąpienia Margaret Thatcher, bożonarodzeniowe orędzie wygłaszała, rzecz jasna, królowa Elżbieta, a Karol i Diana uchodzili za szczęśliwe małżeństwo.

W połowie lat 80. Stanley Kubrick zdążył nakręcić swój wietnamski film w londyńskich dokach, których budynki stopniowo i nieubłaganie ustępowały pod naporem buldożerów (ilustr. 1). Tamta okolica przypominała strefę konfliktu zbrojnego i trudno mi było sobie wyobrazić, że już niedługo przekształci się w jedną z najnowocześniejszych dzielnic stolicy. Atrakcją wypadów w tamte rejonny Londynu była futurystyczna, na owe czasy, przejażdżka autonomiczną kolejką sunącą po torach wijących się między szklanymi wieżami biurowców.

Natomiast magnesem, który mnie zawsze przyciągał, były antykwariaty zlokalizowane przy tytułowej ulicy z filmu *Charing Cross 84* (*84 Charing Cross Road*, reż. David Hugh Jones, 1984), chociaż – rzecz jasna – nie spodziewałem się natknąć w którymś z nich na Anthony’ego Hopkinsa. Za ladą od lat siedzieli ci sami sprzedawcy, a dział z książkami filmowymi pozostawał niezmiennie na swoim miejscu. Choć ich największy wybór i tak znajdował się przy Great Russell Street w Cinema Bookshop. To, czego nie udało się tam znaleźć, zazwyczaj można było wypożyczyć z biblioteki British Film Institute zlokalizowanej nieopodal przy Stephen Street. Nawet Foyles nie miał takiej oferty, mimo że półki z książkami zajmowały w nim całe cztery piętra.

Ta część Londynu była dla mnie takim miastem w mieście. Przy Charing Cross Road, prócz antykwariatów i księgarń, pod numerem 105. znajdował się Marquee Club (ilustr. 2) – miejsce od zawsze kojarzące się z zespołami rockowymi, które występowały tam w początkowym okresie swej kariery. Różnorodność muzycznego repertuaru łączyła się z częstymi zmianami lokalizacji klubu wędrującego po centrum Londynu. Ale wówczas Marquee był tam, gdzie był. Kawalek dalej, u wylotu Oxford Street, ulokowano wielki sklep Virgin Records. Ciekawe, że doskonale prosperował mimo tego, iż nieopodal funkcjonował również duży sklep muzyczny HMV. Zaglądałem do jednego i drugiego, chociaż chyba wolałem Virgin. Najbardziej jednak lubiłem Tower Record przy Piccadilly Circus, do którego można było wejść bezpośrednio ze stacji metra. Z okazji premiery nowej



Ilustr. 1 (fot. Artur Piskorz)



Ilustr. 2 (fot. Artur Piskorz)

płyty, po odstaniu swojego w kolejce i przy odrobinie szczęścia, wychodziło się ze sklepu z podpisami muzyków ulubionego zespołu. Po drodze zaś zawsze warto było zahaczyć o National Gallery przy Trafalgar Square albo zaliczyć jakąś nową wystawę w Royal Academy of Arts przy Piccadilly.

Do kina najczęściej chodziłem w weekendy. Najlepszy repertuar (i studenckie zniżki) mieli w Riverside Studios w dzielnicy Hammersmith. W byłych studiach BBC w 1987 r. otwarto salę kinową i regularnie prezentowano dwa filmy w cenie jednego. Na przykład *Krótki film o zabijaniu* (reż. Krzysztof Kieślowski, 1987) plus *Łowca androidów* (*Blade Runner*, reż. Ridley Scott, 1982). Taki *double bill*. Przed seansem na sali pojawiała się hostessa oferująca publiczności słodkie i słone przekąski. Reklam było niewiele i większość z nich dotyczyła repertuaru kina. Natomiast zupełnie inna atmosfera panowała w Scali przy King's Cross, której wnętrze doskonale nadawało się do oglądania horrorów i klasyki filmu *noir*. Do dzisiaj pamiętam seans *Psychozy* (*Psycho*, reż. Alfred Hitchcock, 1960), któremu towarzyszyły regularne drgania budynku kina ulokowanego nad tunelem metra. Przejeżdżające pociągi zapewniały dodatkową atrakcję, fotele wibrowały, choć nie aż tak spektakularnie, jak w jednej ze scen w *Siedem* (*Seven*, reż. David Fincher, 1995). Rzadko natomiast wybierałem się do Empire przy Leicester Square. Atrakcją był, co prawda, przestrzenny dźwięk, ale dawali tam głównie amerykańskie blockbustery, zaś ceny biletów odstraszały. Już lepiej było zajrzeć do Prince Charles Cinema za rogiem. Choćby dla samej nazwy i znacznie ciekawszego repertuaru.

Mroczne klimaty panowały w Battersea (ilustr. 3). Lokalnemu parkowi daleko było do wymuskanego Hyde Parku, ale okolica przyciągała monumentalną Battersea Power Station. Zamknięta na początku lat 80., elektrownia do dzisiaj jest jedną z największych na świecie konstrukcji wzniesionych z cegły i została upamiętniona na ikonicznej okładce *Animals* Pink Floydów. Wówczas nie za bardzo dało się podejść do budynku, ale zrobić obowiązkową fotkę na jego tle – już tak. Zwłaszcza że po dekadzie od ukazania się płyty Floydów okolica niewiele różniła się od tej znanej z okładekowych zdjęć.

Derek Jarman uczcił srebrny jubileusz panowania królowej Elżbiety, realizując film *Jubileusz* (*Jubilee*, 1978). Z kolei władze Londynu tak samo nazwały nowo wybudowaną linię metra, której końcowa stacja zlokalizowana była na dworcu Charing Cross. Dopiero dekadę później zaczęto pisać o jej wydłużeniu w stronę Docklands. Jubilee Line była wówczas najnowocześniejszą, najpункtualniejszą i najschludniejszą linią kolejki w centralnym Londynie. Przesiadka na linię Northern czy Metropolitan przypominała podróż wehikulem czasu w wiktoriańska przeszłość. W tamtych latach na każdej stacji znajdowały się ulotki z planem metra. Grafika z wijącymi się, wielokolorowymi liniami i charakterystyczną pętlą w samym środku szybko zapadała w pamięć. Podróże piętrowymi autobusami były atrakcją głównie turystyczną. Słynne piętrusy notorycznie się spóźniały albo tkwiły w korkach, więc jazda nimi była ostatecznością, jeśli oczywiście udało się do któregoś z nich wsiąść. Niejednokrotnie, po długim oczekiwaniu na autobus linii 9, okazywało się, że nie wszyscy stojący na przystanku się pomieszczą, więc konduktor oznajmiał: *Full up!* – i autobus odjeżdżał.

Miejski pejzaż, niczym muchomory, znaczyły liczne czerwone budki telefoniczne, z których można było zadzwonić pod dowolny numer nawet w Polsce.



Ilustr. 3 (fot. Artur Piskorz)



Ilustr. 4 (fot. Artur Piskorz)



Ilustr. 5 (fot. Artur Piskorz)



Ilustr. 6 (fot. Artur Piskorz)



Ilustr. 7 (fot. Artur Piskorz)

Nie raz zdarzało się, że musiałem odstać swoje w kolejce, a po pewnym czasie decydować, czy dzwonić z tradycyjnego aparatu na monety, czy z tego nowocześniejszego na kartę telefoniczną. Jednak bez względu na rodzaj aparatu budki, zwłaszcza te w centrum czy przy stacjach metra, zwyczajowo zasypane były ulotkami ze zdjęciami roznieglizowanych dam oraz numerem telefonu zachęcającym do kontaktu.

W niedzielne popołudnie przy ładnej pogodzie warto było wybrać się na rejs po Tamizie. O ile Canary Wharf nie stanowiły jeszcze tak wyraźnego punktu odniesienia w panoramie miasta, o tyle przepływając między wieżami otwartego Tower Bridge (ilustr. 4), czułem się niczym Harold Shand z *Długiego Wielkiego Piątku* (*The Long Good Friday*, reż. John Mackenzie, 1980). W tej ikonicznej scenie londyński gangster, stylizujący się na biznesmena, wygłasza mowę o współpracy lokalnego półświatka z obecnymi na pokładzie łodzi amerykańskimi przyjaciółmi. Już wkrótce Margaret Thatcher będzie przemawiać w parlamencie w podobnym tonie, kiedy rozpocznie swoją polityczno-gospodarczą krucjatę do spółki z Ronaldem Reaganem – jej amerykańskim przyjacielem.

Dzielnica Notting Hill nie kojarzyła mi się ani z Julią, ani z Hugh. Jeśli już, to z sierpniowym karnawałem społeczności karaibskich, który na dwa dni brał we władanie okolice. Ulice wypełniały parady, pokazy, głośna muzyka i wielobarwny tłum. Wydarzenie zainicjowano jako imprezę o charakterze integracyjnym w reakcji na zamieszki na tle rasowym, które wybuchły w okolicy w 1958 r. Na tym obszarze osiedlali się migranci z byłych kolonii, którzy po wojnie zaczęli zjeżdżać do Zjednoczonego Królestwa w poszukiwaniu pracy i już zostawali. Przez długie lata całe rejony Notting Hill cieszyły się niezbyt dobrą reputacją, lecz wraz z upływem czasu, a także dzięki rosnącej popularności Portobello Market, dzielnica stawała się modna. Zmianę ugruntowała popularność filmowego romansu między nieśmiałym Brytyjczykiem i amerykańską gwiazdą filmową.

W tych odległych czasach Londyn zwyczajnie był i nie sprawiał wrażenia, jakby miał zamiar „znikać”. Pewnie mogłem pójść w ślady filmowego Robinsona, który wierzył w to, że *jeśli odpowiednio się skupi, wówczas powierzchnia miasta odsłoni przed nim molekularne podstawy wydarzeń historycznych i miał nadzieję w ten sposób uzyskać wgląd w przyszłość*. Ta odsłoniła przede mną „swoje molekularne podstawy” dopiero po dekadzie z okładem. Powrót do Londynu po latach był podróżą sentymentalną, która została rozpisana na coroczne dłuższe bądź krótsze pobyty. Każdy z nich łączył się z odkryciem kolejnej zmiany, jaka zaszła w mieście podczas mojej kilkuletniej nieobecności. Co prawda królowa Elżbieta dalej wygłaszała noworoczne orędzie, ale pani Thatcher pojawiała się w wiadomościach już tylko jako postać historyczna, zaś Diana została upamiętniona fontanną w Hyde Parku oraz odpustowym ołtarzykiem w Harrodsie. O Kate i Meghan nikt jeszcze nie słyszał.

Kolejne wizyty dostarczały coraz bardziej przekonujących dowodów na „znikanie” mojego Londynu. Na pierwszy ogień poszła księgarnia przy Great Russell Street. Po Cinema Bookshop pozostała ledwie zielona fasada. Brudne szyby wystawowe i puste wnętrza były jedynie dalekim wspomnieniem miejsca, gdzie spędzałem długie chwile, wertując czasopisma filmowe czy przeglądając bogato ilustrowane albumy. Zniknęła siedziba BFI przy Stephen Street. Żegnaj biblioteko, żegnaj czytelnio! Chociaż akurat to „zniknięcie” było połowiczne:

instytut przeniósł się na South Bank nieopodal Tate Modern – tej samej, której w latach 80. nie było, a ku której, po efektownym pościgu dachami St Paul's Cathedral i Blackfriars Bridge, pędzi Tom Cruise w *Mission: Impossible – Fallout* (reż. Christopher McQuarrie, 2018) (ilustr. 5). Twórcom trzeba oddać sprawiedliwość, że w zapierającej dech sekwencji udało się zachować właściwą topografię tej części miasta, czego zupełnie nie można powiedzieć o scenie szalonej jazdy samochodem w końcówce *Notting Hill* (reż. Roger Michell, 1999).

W tym samym czasie zniknął sklep Tower Records. Od tej pory Piccadilly Circus przestał mi się kojarzyć z wielkim czerwonym napisem na żółtym tle i wspomnieniem rozmowy ze sprzedawcą, utyskującym na Wielką Brytanię, w której nie można było kupić *Mechanicznej pomarańczy* (*A Clockwork Orange*, reż. Stanley Kubrick, 1971), wtedy jeszcze na kasecie VHS. Toż to cenzura i państwo opresyjne! W ślady Tower Records wkrótce poszedł sklep Virgin, a niedługo potem HMV. Coś się działo, coś nieodwracalnego, a „znikanie” Londynu z każdym kolejnym pobytem zdawało się przyspieszać.

Szczęśliwie antykwariaty przy Charing Cross Road chwilowo były jeszcze na swoim miejscu, ale już wkrótce okazało się, że także ich dni są policzone. Kiedy rozpoczęto przebudowę stacji metra Tottenham Court Road, buldożery zajęły się kilkoma najbliższymi budynkami (ilustr. 6). W jednym z nich znajdował się antykwariat specjalizujący się w komiksach i klasyce *hard-boiled fiction*: Cain, Woolrich, Chandler... Zniknięcie tego miejsca było początkiem prawdziwej czarnej serii. Z każdym rokiem ubywało bowiem kolejny antykwariat. Zastępowały go lokale gastronomiczne i sklepy z pamiątkami dla turystów. Ulica coraz mniej kojarzyła mi się z godzinami spędzonymi między półkami wypełnionymi książkami.

Prawda, trzymał się jeszcze Foyles, chociaż i jego czekała przeprowadzka. Szczęśliwie tylko o kilka numerów dalej. Stara siedziba sklepu została wyburzona. BFI, przeniesiony na South Bank, przez dłuższy czas dzielnie trwał, oferując najlepszy w Londynie wybór literatury filmoznawczej, a sąsiadująca z nim Reuben Library gwarantowała dostęp do całych roczników czasopism. Pandemia zmieniła i ten stan rzeczy. Kiedy po jej zakończeniu po raz pierwszy wyprawilem się na Wyspy, okazało się, że i ta księgarnia nie jest nikomu specjalnie potrzebna i może sobie zniknąć. Owszem, ostało się kilka półek z nowościami, ale nic poza tym. Powiało pustką. Funkcjonowała tylko biblioteka. Jeszcze.

Jubilee Line już dawno wydłużyła swą trasę poza Charing Cross, do systemu dołączono naziemną kolejkę, a po latach budowy otwarto najnowszą linię metra, którą nazwano, jakżeby inaczej, Elizabeth. Ulotka z planem metra wypełniała się wielością kolorowych zawijasów i coraz bardziej traciła na czytelności. Ale w zasadzie przestała być mi potrzebna, gdyż już dawno zastąpiła ją aplikacja w telefonie. System zdawał się działać dzięki smartfonom pasażerów. Z peronów i okienek kasowych znikali pracownicy. Z autobusów już dawno zniknęli konduktorzy, a kierowcy nie sprzedawali biletów. O wskakiwaniu i wyskakiwaniu tylnymi drzwiami piętrosów można było zapomnieć.

Po londyńskich dokach zostało tylko wspomnienie. Część przerobiono na lofty i mieszkania, aby w jednym z nich mogła zamieszkać filmowa Bridget Jones, przynajmniej ta z pierwszej części trylogii. Pozostałe wyburzono, a na ich miejsce wstawiono szklane wieże biurowców. Jeszcze na początku XXI w. sensację budził



Ilustr. 8 (fot. Artur Piskorz)



Ilustr. 9 (fot. Artur Piskorz)



Ilustr. 10 (fot. Artur Piskorz)



Ilustr. 11 (fot. Artur Piskorz)



Ilustr. 12 (fot. Artur Piskorz)

jeden z nich, nazwany przez Londyńczyków – z racji swego wyglądu – ogórkiem (ilustr. 7). Jego szklana fasada efektownie odbijała okoliczne budynki. Gherkin przez chwilę górował nad miastem, ale i on w ciągu dwóch dekad zniknął, przytłoczony coraz wyższymi budynkami powstającymi wokół niego (ilustr. 8). Wrzynały się one w tkanę londyńskiego City, rugowały wiktoriańskie kamienice, zawłaszczwały kolejne ulice, by ostatecznie wdrzeć się na obrzeża East Endu i powoli zacząć go wchłaniać (ilustr. 9). Znikały kolejne fragmenty miasta i związane z nimi wspomnienia. Kiedy zaś nieopodal Borough Market wbił się kilkusetmetrowy Shard, panorama miasta już w niczym nie przypominała tej sprzed kilku dekad. Dobrze chociaż, że Guy Ritchie zdążył tam wcześniej nakręcić swoje *Porachunki* (*Lock, Stock and Two Smoking Barrels*, 1998). Nawet kino Scala zniknęło po tym, jak bez zezwolenia zorganizowano w nim seans *Mechanicznej pomarańczy*, kiedy jeszcze obowiązywał zakaz jej wyświetlania. Tak, tak – toż to cenzura i państwo opresyjne.

Gentryfikacja nie ominęła Battersea Power Station (ilustr. 10). Elektrownię wyszorowano, odmalowano i zagospodarowano jej wnętrze, a wokół zbudowano luksusową dzielnicę. I dobrze, bo na zapuszczony latami budynek zwyczajnie żal było patrzeć. Zniknęła nie tylko szarobura cegła, ale nawet okładka reedycji albumu Floydów z 2022 r. rozbłyскуje kolorami odnowionej fasady byłej elektrowni. W okolicach 2013 r., przy okazji corocznej imprezy o nazwie Open House, otwarto dla mieszkańców wnętrza budynku. Oczywiście, gnany ciekawością i sentymentem, zapragnąłem dostać się do środka. Już na miejscu zorientowałem się, że chętnych do zwiedzania jest więcej, a kolejkowy zawijas ciągnie się na długość kilku kilometrów (ilustr. 11). Kiedy grzecznie ustawiłem się na samym końcu, pani z ochrony poinformowała mnie, że mogę czekać, ale to na jakieś pięć, sześć godzin stania. Raczej już bez szans na wejście, bo będzie zamknięte. Miała rację.

Pandemiczna przerwa skutecznie uniemożliwiła mi skrupulatne i regularne rejestrowanie kolejnych etapów „znikania” Londynu. Do przekroczenia granicy we wrześniu 2022 r. nie wystarczył już dowód osobisty. Nie tylko Londyn, ale cała Wielka Brytania „zniknęła” z mapy Unii Europejskiej. Znowu trzeba było kupić miejscową kartę SIM, bo korzystanie z roamingu groziło astronomicznym rachunkiem po powrocie do domu. Ze sklepów zniknęły kartki z napisem *cash only* zastępowane informacją *electronic payment only*. Na Pembridge Road przy stacji metra Notting Hill zamknięto kolejny antykwariat. Wygląd Skoob Books przy Marchmont Street od razu wydał mi się podejrzany, kiedy tylko zobaczyłem wystawę. Po wejściu zorientowałem się, że działu filmowego (schodami w dół i w lewo) nie ma na swoim miejscu. Zniknął, relegowany na jakieś boczne półki, i nie było tam już nic ciekawego. Gdzieś na ścianach budynków powiewały flagi Ukrainy. W Lambeth sфотографowałem antyrosyjskie graffiti. Czerwone budki telefoniczne, które latami, stopniowo i nieubłaganie zniknęły z ulic miasta, teraz zapadły się pod ziemię. Nieliczne, które się jeszcze ostały, przerobiono na bankomaty (ilustr. 12). Wraz z nimi zniknęły ulotki z roznieglizowanymi damami. Internet wyeliminował i jedno, i drugie.

Jednak najważniejszą zmianą, którą żyło całe miasto, był pogrzeb królowej Elżbiety. Jej „zniknięcie” obwieszczały portrety zdobiące wystawy sklepów, wszechobecne flagi czy tablice elektroniczne rozbłyskujące wizerunkiem monarchini (ilustr. 13). Bez względu na stosunek do monarchii poczucie końca epoki, jakie przenikało atmosferę miasta, udzielało się wszystkim, którzy mieli okazję

być w tym czasie w Londynie. Kolejki do Westminsteru ciągnące się wzdłuż Tamizy, tłumy pod Parlamentem, zablokowane ulice, Whitehall z Londyńczykami spacerującymi środkiem tej zwyczajowo ruchliwej ulicy. Dziwny czas. Symboliczny i realny koniec epoki (ilustr. 14). Kiedy jedno miasto znika, powstaje inne. Trzeba przedefiniować punkty odniesienia, nakreślić nową topografię miejsca - tę realną i tę emocjonalną. Wędrując wówczas po Londynie przesiąkniętym żalobą po królowej, przypomniałem sobie słowa filmowego Robinsona, który uważał, że porażka Londynu jako miasta *zakorzeniona była w angielskim strachu przed miastami, protestanckim strachu przed papieżem i socjalizmem: strachu przed Europą, który pozbawił Londyńczyków praw obywatelskich i zachwiał społeczeństwem*. Czy ja wiem? Może tak. A może jednak nie.

PS. Prince Charles Cinema wydało oświadczenie, że koronacja Karola na króla nie wpłynie na zmianę nazwy kina.

PPS. Nowy właściciel sklepu HMV na Oxford Street zapowiedział jego ponowne otwarcie pod koniec 2023 r. Mój Londyn chyba jeszcze tak całkiem nie „zniknął”.

Artur Piskorz

Doktor habilitowany, profesor Uniwersytetu Pedagogicznego im. KEN w Krakowie. Filmoznawca, anglista, tłumacz. Zainteresowania badawcze: kultura i kinematografia brytyjska oraz kino Stanleya Kubricka. Autor artykułów w tomach zbiorowych i czasopismach, m.in. w „Media – Kultura – Komunikacja Społeczna”, oraz monografii *Kino organiczne Mike'a Leigh* (2016).

Keywords:

London;
disappearing city;
Patrick Keiller;
Robinson;
Battersea;
BFI;
queen

Abstract

Artur Piskorz

Disappearing City

Taking Patrick Keiller's film *London* (1994) as a point of reference, the author of the text wanders through the contemporary British capital, recording the changes it has undergone over the last few decades. Registering the progressive transformation, he observes that the “disappearance” of well-known places from the past signifies a kind of “disappearance” of the city preserved in his memory. Yet, at the same time it also signifies the formation of a new urban space. **(Non-reviewed material).**



Ilustr. 13 (fot. Artur Piskorz)



Ilustr. 14 (fot. Artur Piskorz)